

Sulawesi: Kwintesencja Azji Południowo-Wschodniej

Po długim okresie rekonwalescencji (zob. rozdział Drugie Życie) kupiłem na koniec grudnia 2005 r. bilet do Dżakarty. Planowałem udać się do indonezyjskiej części Borneo (Kalimantan). Byłem tak bardzo zajęty pracą, że nie zdołałem zaplanować podróży. W samolocie złapałem przewodnik do ręki i zorientowałem się, że Kalimantan to region, gdzie wydobywa się ropę, karczkuje las deszczowy i sadi w jego miejsce palmy oleiste, które, jak się dowiedziałem niedawno, służą do wyrobu kosmetyków. Kilka miesięcy temu przeczytałem w prasie francuskiej, że na Borneo masowo wycina się lasy deszczowe, szczury grasujące w gajach palmowych zwalczą się sprowadzanymi z Afryki południowej kobrami, a gospodarka prowadzona przez człowieka na tych terenach degraduje środowisko naturalne. Tydzień temu przeczytałem, że w ciągu kilkudziesięciu lat wyginą na Borneo orangutany. Czytając o ropie, o rabunkowej gospodarce, zmieniłem plany i udałem się na Sulawesi. Z Manado przedostałem się po wzburzonym morzu na Bunaken. Byłem pierwszy raz w tropikalnym, odludnym miejscu. Bałem się. Przez pierwszych pięć nocy prawie nie zmrzyłem oka. Hałas dochodzący z dżungli, burze przechodzące nocą przez wyspę, gekony szalejące po suficie nie dawały spać. Nurkowałem. Po raz pierwszy spotkałem pod wodą żółwie i rekiny, barakudy i inne fascynujące ryby. Młodzi divemasterzy popisywali się i zabierali mnie głębiej i głębiej.

Granica strachu

Nurkowanie głębokie nie sprawia frajdy takiej, jak nurkowanie tuż pod powierzchnią. Gdy nurkuję raz, może dwa razy do roku, sport ten sprawia mi dużo kłopotu. Za każdym razem muszę przypomnieć sobie podstawowe zasady funkcjonowania w obcym mi środowisku. Każdemu zejściu pod wodę towarzyszy dreszczyk emocji. Niemniej fajnie jest pobyc chwilę w innym środowisku, aniżeli w tym, w którym przyszło nam funkcjonować na co dzień. Inne barwy, spokojny bulgot powietrza wydostającego się z oktopusa, ogrody

korali falujących jak zborze w lecie. Ryby i inne stwory ciekawie przyglądające się płetwonurkowi. Rekiny, żółwie, barrakudy. – podwodny raj.

Niemniej jednak jesteście w innym świecie. W obcym dla nas środowisku. Nie wystarczy zatrzymać się, zamknąć oczu i wziąć głęboki oddech. Tu trzeba wydostać się na zewnątrz. Przypominam sobie niepoważny incydent, w którym uczestniczyłem i którego byłem przewodnikiem. Otóż wiele lat temu, zaraz po tym, gdy nauczyłem się nurkować, popłynąłem w morzu czerwonym na nurkowanie z kilkoma przypadkowo spotkanymi jegomościami. Było nas kilkoro, był też jeden przewodnik. Procedury bezpieczeństwa są przy nurkowaniu takie, że trzeba przewodnika zawiadomić o tym, że wyczerpało się połowę dostępnego powietrza. Jego zadaniem jest wtedy zaplanowanie spokojnego i bezpiecznego wynurzenia. Dla płetwonurka jest to z drugiej strony znak, że fajny czas pod wodą kończy się i niedługo będziemy się bujać na fali na powierzchni. Ponieważ byłem młody, wszystko wiedziałem lepiej i zawsze miałem rację, postanowiłem nie informować przewodnika, o tym, że niedługo skończy mi się powietrze i powinniśmy już zacząć planować wynurzenie. Gdy na barometrze widziałem, że została mi jeszcze tylko jedna czwarta powietrza, przewodnik zszedł nagle kilka metrów w dół i pokazał nam, że mamy szybko do niego podpłynąć, ponieważ na dnie leży piękny i dorodny rekin leoparci. Wszyscy zaczęli go podziwiać, a ja zestresowany gapiłem się na barometr, który wskazywał mi, że za chwilę zabraknie mi powietrza. Musiałem zachowywać się dziwnie, ponieważ podpłynął do mnie przewodnik i zapytał o wskazanie ciśnienia. Gdy mu pokazałem trzy palce (30 bar, czyli jedna siódma startowej zawartości powietrza w butli – ilość, przy której trzeba już być dawno na powierzchni), podpłynął do mnie, dał mi swój zapasowy aparat, złapał za rękę i zaczęliśmy się razem wynurzać do głębokości pięciu metrów, aby zrobić przystanek dekompresyjny. Po minucie zobaczyłem, że zmierza w naszym kierunku jeden z płetwonurków i z daleka uderza krawędzią otwartej dłoni o szyję, pokazując nam w ten sposób, że on już nie ma w ogóle powietrza. Nasz przewodnik zrobił najpierw wielkie oczy, wsadził mi mój automat z resztkami mojego powietrza do ust, nakazał zdecydowanym ruchem ucieczkę na powierzchnię wody i zajął się ratowaniem kolegi. Po wylądowaniu na statku, przy obiedzie, dwóch świeżo upieczonych i bladych ze strachu płetwonurków oberwało solidną burę, musieliśmy za karę zmyć naczynia i umyć pokład. Człowiek nie zdaje sobie w młodości sprawy z niebezpieczeństw i ze skutków własnych zachowań. Woda to inne środowisko. Aby móc pewnie funkcjonować w takim środowisku, trzeba bez przerwy ćwiczyć. Na każdym kroku bowiem czają się dziwne niebezpieczne niespodzianki. Tak jak na Bunaken, gdzie pewnego popołudniowego porwał mnie nagle silny przybrzeżny prąd i zagnał bardzo daleko od łodzi, która później na wzburzonym morzu nie mogła mnie znaleźć przez prawie godzinę.

To też tak jak z lataniem samolotem. Każdy start to ceremonia, wielogodzinny stres przed oderwaniem się od ziemi. Pot na dłoniach trzymających kurczowo wolant. Zalane potem plecy, gdy wydarzy się coś niespodziewanego. I mimo tego, że jest piękna pogoda, przelatując po południu nad nagrzanym przez słońce lasem, nagle zacznie nami rzucać. Mocniejsza nagła turbulencja, chmurka, która przykryła pas startowy, tak, że go nie widać, potrafią zdezorientować młodego niedoświadczzonego pilota. Identycznie jest pod wodą. Dziwna rybka wielkości małego palca pływająca za mną krok w krok w Abdul Rahman NP na Borneo przez pół godziny potrafi zestresować tak solidnie, że masz ochotę wrócić czym prędzej na ląd.

Nurkowanie, żeglowanie, wysokie góry, prowadzenie samolotu. Przelamuję strach, tabu. Wkraczam do innego, tajemniczego świata. Z dreszczykiem emocji, spoconymi dłońmi, zwielokrotnionym pulsowaniem, wręcz łomotaniem serca. Przekroczenie granicy strachu jest dobre. Powrót okazuje się najspokojniejszą chwilą dnia.

Sylwester na Teluk Tomini

W noc sylwestrową przyszło mi przeprowiać się przez zatokę Tomini na małym obskurnym promie. Byłem jedynym białym. Ponieważ nie rezerwowałem wcześniej biletu, nie dostałem małej i śmierdzącej kajuty. Mogłem wybrać miejsce albo na pokładzie gdzie wiało i zapowiadała się zimna noc, albo pod pokładem leżąc pokotem w wielkiej hali z setką kocmkowatych pasażerów. Wybrałem pierwszą opcję, licząc na ciepły polar, który zawsze zabieram ze sobą na wyprawy oraz na śpiwór, który w dżungli zdążył naciągnąć wilgoci i pachniał bardzo swojsko. Jeszcze zanim odbiliśmy od brzegu, zająłem wygodne miejsce na stalowym, zardzewiałym ale wyczyszczonym pokładzie. Obok mnie zajęła miejsce młoda kobieta, która do stalowego rusztowania przywiązała wielką chustę, do której włożyła maleńkie dziecko. W ten oto sposób zobaczyłem osobliwą kołyskę dla dzidziusia.

Nie sposób nie wspomnieć w tym miejscu o wyraźnej różnicy, jaką widać pomiędzy dzieckiem „cywilizowanym” (czytaj: europejskim) i dzieckiem „dzikiem” (czytaj: dzieckiem spoza Europy):

- Dzidzius w Azji płacze (gdy mu coś dolega), dzidzius w Europie wyje (gdy mu coś dolega, ale także wtedy, gdy postanowił, że wyc należy).
- Dziecko w Azji jest spokojne, nigdy nie marudzi. Dzieckiem europejskim trzeba się zajmować, zabawiać je. W innym wypadku swoim



Obok mnie miejsce zajęła młoda kobieta, która do stalowego rusztowania przywiązała wielką chustę, do której włożyła małe dziecko

wrzaskiem doprowadzi nas i wszystkich w promieniu 50 metrów do pionu.

- Dziecko europejskie jest czyste, ubrane w markowe ciuchy prane w specjalnych płynach i proszkach. W zimie oraz w pochmurny i chłodniejszy dzień nie jest zabierane na spacer, całe dni spędza bawiąc się playstation i oglądając kolorowe reklamy w telewizji. - Dziecko azjatyckie chodzi nago, jest umorusane od stóp do głów, całe dni spędza z mamą na dworze.
- Dziki dzidzius ssie cycka przez przynajmniej trzy lata, potem odżywiający jest świeżymi warzywami i owocami oraz ryżem. Nowoczesna matka przestaje karmić swoje dziecko w wieku sześciu miesięcy, bo musi dbać o swoją karierę (często opartą i tak wyłącznie o łózkowy układ z szefem). Po sześciu miesiącach faszkuje dziecko mlekiem, które nigdy żadnego zwierzęcia nie widziało, chemią i kilogramami tabletek, kropli i hektolitrami szczepionek.
- Dzidzius w Azji będzie się zdrowo rozwijał. Jego europejski kolega najpóźniej w wieku kilkunastu lat skazany jest na skoliozy, alergię i inne choroby cywilizacyjne.

- W wieku kilku lat dziecko europejskie bawi się zabawkami. Codziennie składa zamówienia na nowe gadżety, misie, klocki, lokomotywy, świecidełka, grające pudełka. Dziecko w Azji składa te zabawki, by pokemon w Europie mógł się nimi bawić.
- Dziecko w Europie za kilkanaście lat skończy szkołę, zapisze się do związków zawodowych, będzie strajkowało, a następnie będzie żyło z zasiłku dla bezrobotnych. Młody Azjata skończy studia i będzie rządził światem. Nie pozwoli wypłacić zasiłku swojemu leniwemu koledze ze starej Europy. I będzie miał rację! Europa jest zdegenerowana i jeszcze za naszego życia zostanie wchłonięta przez Azję. W najlepszej wersji stanie się skansem.

Siedząc na deku zostałem zauważony przez załogę statku. Podszedł do mnie elegancko ubrany młody chłopak i piękną angielszczyzną zapytał skąd jestem i dokąd zmierzam. Nie pasował mi to starej krypy, którą miałem się przedostać w sylwestrową noc na drugi brzeg wielkiej Sulawesii. Okazało się, że jest pierwszym oficerem na statku. Ucieszył się, gdy powiedziałem, że jestem z Polski, bo dobrze wspominał polskich marynarzy, których czasem spotykał w różnych portach azjatyckich. Przyniósł mi wygodny duży materac, którym podzieliłem się z mamą maleńkiego dzidziusia, kołyszącego się nade mną. Byłem wyczerpany wrażeniami z Tangkoko, ucieczką przed rozwścieczonymi małpami, łażeniem po wulkanach. Zasnąłem w śpiworze i spałem jak zabity. Po jakimś czasie obudził mnie ten sam młody człowiek, zabrał pod ramię i poprowadził schodami do góry. Znalazłem się na mostku kapitańskim, który zamieniony został w wielki bufet, pełen ryb, sałatek, soku, wody mineralnej i coli. Zostałem zaproszony na imprezę sylwestrową, którą dla swojej załogi urządził kapitan jednostki. Na krótko przed północą wszyscy uścisnęliśmy sobie dłonie, wspomnieliśmy naszego papieża, który w Indonezji cieszy

Każde przekroczenie równika to święto



się wielkim szacunkiem. Usłyszałem wiele ciepłych słów o Lechu Wałęsie, który pokonał komunizm. Nie wspominałem im o tym, że jest takich dwóch małych, co ukradli księżyc i uważają, że polski noblista przeszkadzał w obalaniu komunizmu. Tuż po północy kapitan porosił mnie do siebie i wskazał palcem na GPS. Wskazanie 00-00-000 spowodowało moją euforię: po raz pierwszy w życiu przekraczałem równik! Do rana opowiadaliśmy z oficerami na mostku moje przygody żeglarskie na Mazurach i ich przygody na promie przemierzającym co noc Teluk Tomini.

Kibel: miernik cywilizacji

Broniłem się jak tylko mogłem przed pójściem do toalety na statku. Siedziałem po turecku w środku nocy, nie myślałem o jedzeniu i piciu. Gdy już nie mogłem wytrzymać, pognałem do toalety. Była to typowa azjatycka toaleta z dziurą w podłodze, połączona z mandi, czyli wielkim kubłem wody, w którym pływała mała plastikowa konewka. Okazało się, że toaleta jest czysta, albowiem każdy azjata wychodząc z niej sptukiwał po sobie i robił to w taki sposób, że od razu mył całą podłogę w toalecie. Takie są zawsze kible w Azji: Proste, czyste, nigdy nie zafajdane. Można się w nich zawsze wykąpać i odświeżyć. A co mamy w Polsce? Oto kilka obrazków:

Sztynort. Mekka polskiego żeglarstwa na Mazurach. Przyплыwasz jachtem do kei, płacisz 15 PLN za postój. Schodzisz po całym dniu żeglowania na ląd? – Nie zapomnij jednego złociszka. Gdy zapomnisz, będziesz musiał dymać na jacht w pozycji zwijającej się, w przykurczu, w podskokach. Nikt nie wpuści Cię do pisuaru, gdy nie masz 1 PLN. W nocy pół biedy. Kible przed keją są zamknięte na cztery spusty, więc i tak sikać trzeba albo z kei, tak, by mieszkańcy wszystkich jachtów zacumowanych w okolicy słyszeli ile piwa zebrali się w pęcherzach. Wersja bardziej cywilizowana to krzaki na końcu portu. Nigdy tam nie cumuj w Sztynorcie, bo jest to nocny kibel dla cywilizowanych żeglarzy, którzy nie wytrzymali do 7.00, kiedy można ruszyć szturmem do klozetu za 1 PLN. Jest jeszcze wersja pośrednia: W miejscu, gdzie drewniana keja łączy się z lądem, rośnie wielki krzak koło wybrukowanej alejki. Ci, którzy nie zdążą dobiec na koniec kei, właśnie tu mogą się załatwić. Ponieważ w lecie w Sztynorcie cumuje dużo jachtów, pod krzakiem w środku nocy robi się tłoczno. To są rozwiązania dla celów zwanych przez murzynów w Afryce na Kilimandżaro „small toilet”. Gdy jednak wygłodniały żeglarz przycumuje już po południu w Sztynorcie i od razu rzuci się do Żęzy by popijać piwem szaszłyk za szaszłykiem, kiełbasę za kiełbasą, w nocy ma problem z „big toilet”. Rano problem będą mieli pozostali żeglarze, którzy

tego samego dnia zawinęli do Sztynortu. Gdy pójdą rano myć zęby do umywalk zlokalizowanych z tyłu toalet, zobaczą pośród umywalk, na samym środku wielką polibacyjną kupę. Ci którzy rankiem wyjdą na śniadanie, a wcześniej zechcą przespacerować się po portowym parku, nie mają szans nie wdepnąć w zastawione ciemną nocąminy. Jest jeszcze w Sztynorcie kibel w wersji kulturalno-wyrafinowanej. Otóż nieopodal portu znajduje się ruina poniemieckiego pałacu. Po komunie, lokatorach rodem ze Wschodu, pracujących w pobliskim pegieerze pozostały wielkie walące się mury. Miedzy tymi murami ukulturowieni żeglarze robią poranną kupę wspominając przy tym stare dobre pruskie czasy i wzdychając, jak chamy z pegieeru doprowadziły piękny pałac do ruiny.

Spyw kajakowy Krutynią: cudowna rzeka, jeden z najpiękniejszych spywów kajakowych, jakie przeżywam od wielu lat w różnych częściach świata. Malownicze zakola, łabędzie, czarny bociek, czapla siwa, lasy łąki i pola. Idylla. Wieczorny biwak na polu namiotowym pod lasem. Nieopodal piękna wioseczka. Jestem z dwoma feministkami i mimo tego, że mam osobny namiot, że płynę swoim kajakiem, nie możemy dojść do porozumienia. One – sfrustrowane życiem, pracą i facetami, nieszczęśliwe kobiety. Ja – cieszący się życiem człowiek. Pewnego popołudnia zechciała Anne z Berlina pójść do toalety. Na polu kempingowym, nieopodal lasu stała sławojka. Pokazałem jej ręką drewniany domek, w którym jest drewniana konstrukcja z dziurą do siadania. Ledwie mieści się tam jedna osoba. Anne podefilowała w kierunku sławojki, a ja zacząłem się zastanawiać, jak jej tam umilić pobyt. Koło mojego namiotu bawiły się dzieciaki ze wsi. Zapytałem się ich, czy chcą wziąć odwet za zniszczenie Warszawy i zrobić szyszkowe bombardowanie Berlina. Pokazałem jednocześnie, że mają być cicho, bo jest wojna i jesteśmy wszyscy w konspiracji. Za chwilę dzieciaki pobiegły na palcach na skraj lasu i uzbrojone w dziesiątki szyszek otoczyły sławojkę. Na mój znak dokonały z wszystkich stron zmasowanego dywanowego nalotu i bombardowania krainy westchnień. Do końca spywu Anne brała środki zapobiegające chodzeniu do toalety. Uwierzyła mi, że wszystkie toalety w północno-wschodniej Polsce to sławojki.

Mstów. – mała wioska pod Częstochową. Dom bogatego chłopca. Kryształ, najlepsze wódki, plazma, wszystkie najnowsze urządzenia kuchenne. Na podwórku najnowsze maszyny rolnicze. W garażu luksusowy samochód. Wychodek. Na zewnątrz. Sławojka.

Schronisko w Beskidach. Wieczorem interesujące rozmowy z intelektualistami z Krakowa i Wrocławia. Pracownicy naukowcy, inżynierowie. Poranek. Zafajdany kibel.

Ucieczka przed Makakami w krainie Wyraków z Tangkoko

Co robi Jankes, gdy ktoś wchodzi na jego posiadłość bez pytania i bez uprzedzenia? – Strzela! Co robi mieszczuch w Europie, gdy ktoś mu wejdzie do domu? – Dzwoni na policję, bo w Europie strzelać może tylko policja. Co robi mój sąsiad, gdy ktoś wejdzie na jego działkę? – Wali w gębę! Nie pomyślałem o tym wszystkim, gdy wybrałem się do dżungli w Tangkoko w poszukiwaniu Wyraków. Wyraki to takie małe urokliwe zwierzaczki. Małpki w wielkimi oczami. Wynająłem przewodnika i przed świtem udaliśmy się w poszukiwaniu tajemniczych stworków. Gdy je znaleźliśmy kicające w dziuplach i na wielkim drzewie godzinę od kampu, udaliśmy się okrężną drogą, by po drodze zobaczyć czarne endemiczne makaki. Kluczyliśmy z młodym chłopakiem po lesie i czekaliśmy na świt, kiedy to małpy schodzą z drzew w poszukiwaniu jedzenia. Klucząc nie zauważyliśmy, że znaleźliśmy się dokładnie pod drzewem, na którym siedział szef grupy małp. Wielki makak zeskoczył w pewnym momencie z drzewa na ziemię, stanął kilka metrów przed nami i zaczął wołać resztę małp. W moment zostaliśmy otoczeni przez szczerzące wielkie zęby, syczące i wyjące potwory. Gdy mój przewodnik zabrał kija do ręki, małpy się wściekły i zawężyły krąg. Złapaliśmy się za ręce i zaczęliśmy powoli oddalać się. Małpy ruszyły za nami. Gdy mój niedoświadczony młody towarzysz chwycił za drugiego kija, małpiszony uznał to za akt agresji i jeszcze bardziej zacieśniły krąg. Po tym jednak, gdy opuściliśmy ich las, zniknęły nagle. Nie wchodzi nigdy na cudzy teren. Jeśli pamiętam o tym wśród ludzi, dlaczego ignoruję podobne zachowania zwierzaków? Gdy wróciliśmy do obozu, zwinąłem manatki i pognałem na wulkan. Małpy są dzikimi zwierzakami. Gdy człowiek się denerwuje, nie jest zwykle wściekły, nie iskrzą mu się oczy, nie jest agresywny, nie chce zabić, nie reaguje eskalacją na próbę obrony. – E tam. Bzdura. Człowiek to zwierzę. Jak każde inne.

Togeans: Raj na ziemi

Po długiej podróży promem, busem a na koniec jeszcze raz promem dotarłem na archipeląg Togeans. Z maleńkiego portu odebrał mnie Niemiec i zawiózł na maleńką wysepkę, pokazał szałas na plaży i powiedział, że za dwie godziny jest kolacja. Trafiłem do rajku. W pięciu szałasach z bambusa mieszkało 8-10 takich jak ja ludzi z Węgier, Irlandii, Kanady, Stanów. W większym budynku zbudowanym z tego samego budulca mieszkał właściciel wyspy wraz ze swą kanadyjską laską oraz gromadka współpracowników. Poza tymi skromnymi

budynkami, maleńką plażą i werandą, na wyspie była tylko porastająca strome skały dżungla. Nie dało się wejść głębiej w las. Albo trzeba było siedzieć na werandzie, albo spędzać czas w sali jadalnej, albo wylegiwać się w hamaku przed swoim szałasem. Można też było łodzią opuścić wyspę, na co nikt nie miał ochoty. Na wyspie nie było elektryczności. - Wieczorem zapalaliśmy lampy naftowe i ogniska na plaży, jedzenie przyrządzano na ogniu. Na wyspie nie było wody pitnej. – Codziennie przywożono ją łodziami w wielkich niebieskich beczkach z innych wysp. Na wyspie było za to dużo dobrych książek. Ja między licznymi spektakularnymi nurami połąkłem fantastyczne dzieło Brzezińskiego. Napisane w latach dziewięćdziesiątych o świecie w dwudziestym pierwszym wieku. Nie mylił się facet w swoich dywagacjach i przepowiedniach. Popołudniami wszyscy mieszkańcy wyspy zabierali swoje książki, butelkę wody i zajmowali miejsca na werandzie, nad morzem. Było cicho, każdy w skupieniu oddawał się pasjonującej lekturze, niektórzy rozmawiali szeptem. Dominował codziennie dyskretny szum fal. Złocisty kolor zachodzącego słońca, muskający okoliczne ostańce skalne wystające z wody, łodzie rybackie wychodzące na całonocny połów ryb, powodowały, że nikt nie myślał o mijającym czasie. Jedynym jego wyznacznikiem było poranne śniadanie, po którym zaczynały się nury. Może nie tak spektakularne jak na Bunaken, ale prowadzone przez doświadczonego biologa. Towarzyszyły im dokładne i obszernie omówienia, analizy literatury zgromadzonej na wyspie. Gdy zapadał zmrok, wszyscy przechodziliśmy z nadmorskiej werandy do drewnianej pozbawionej szyb jadalni, siadaliśmy po turecku na poduszkach i gaworząc o podróżach, przeżyciach, przygodach czekaliśmy na kolację. Gdy na stół wjeżdżały wysmienicie przyrządzone ryby i inne owoce wyłowione z morza, wszyscy na chwile z wrażenia milkli. Wieczór kończył się szybko. Cisza uspokaja. O ósmej wieczorem każdy już zasypiał w swojej pryczy wsłuchując się w krzyki małych grasujących nieopodał, w szuranie monitora lizada pod szałasem, w tuptanie szurka w łazience, w „gekotanie” na suficie.

Uciec z Europy do własnego raju!

Codziennie od świtu byłem na nogach, spacerowałem po plaży, czytałem książkę. Nie ma fajnej wyprawy bez mądrej lektury. Lektury o świecie, o przyszłości. Właściciel wyspy też rano wstawał. Rozmawialiśmy codziennie o Europie, o świecie, o życiu. Opowiedział mi kiedyś swoją historię: z wykształcenia biolog, specjalizacja biologia morska. Ponieważ był doświadczonym płetwonurkiem, znalazł zatrudnienie w niemieckiej armii, która wysłała go w amerykańskim mundurze z tajną misją do zatoki perskiej, by zakładał miny na wrogich

jednostkach. Po wypadku, z którego ledwo uszedł z życiem, założył firmę usługową. Jego pasją stała się praca. Po kilku latach walki z urzędami, konkurencją, związkami zawodowymi, bankami, sprzedał przedsiębiorstwo zatrudniające ponad czterystu pracowników. Część pieniędzy zainwestował w nieruchomości w Europie i Kanadzie. Ze sobą zabrał do Indonezji sto tysięcy dolarów. Za połowę kupił wyspę na Teluk Tomini, za resztę zbudował tam pięć szałasów z bambusa, werandę nad morzem, budynek z kuchnią, kupił trzy łodzie i wystarał się o podstawowy sprzęt potrzebny na wyspie (generatory prądu, narzędzia itp.) oraz wyposażył maleńką bazę nurkową w porządny sprzęt. Z Europy przywiózł kilkaset książek, z Kanady dziewczynę do łóżka i dyskusji w porę monsunową, z sąsiednich wioseczek kilkunastu pomocników, kucharzy, cieśli, rybaków, którzy codziennie sprzątają, naprawiają, przygotowują, przywożą. Zapytałem o to, co czuje, gdy wraca czasem do Europy. Odpowiedział mi, że coraz rzadziej to robi. Ma wrażenie, że jego bliscy bardzo oddalili się od rzeczywistości. Oni żyją tym, że wiek emerytalny w Niemczech zwiększono o trzy lata, nie mając pojęcia, że większość ludzi na ziemi nie wie co to emerytura. Żyją problemem polityki energetycznej w Europie, podczas gdy na jego wyspie prądu nie ma. Zajmują się dyskusją o tym, co serwuje nowozałożona knajpa w mieście, jakie wino jest en vogue i iłoletnia whiskey jest najlepsza. Na wyspie codziennie są owoce morza z ryżem i warzywami, a najbardziej ekskluzywnym trunkiem piwo, które raz w tygodniu przy pływa z lądu. Nie ma z nimi o czym rozmawiać. Oddalił się od przyjaciół bardzo. Odszedł w inną rzeczywistość.

Ląd jest w Indonezji pojęciem szczególnym. Indonezja to kraj złożony z wielu setek wysp. I tak wyspa, gdzie osiadł Niemiec, położona jest w wielkiej zatoce między ramionami ogromnej Sulawesi. Pomiędzy różnymi portami w Indonezji kursują promy. Ich trasa trwa czasem nawet kilka miesięcy. Pływają regularnie, punktualnie. Punktualnie oznacza z dokładnością do wielu godzin. Pamiętam, jak bardzo się denerwowałem, gdy przez trzy godziny trwał załadunek dech z drzewa palmowego w jednym z portów. W docelowym porcie chciałem złapać autobus i bałem się, że będę musiał kwitnąć w muzułmańskie święto w nieciekawym portowym miasteczku. Nie wierzyłem kapitanowi, który mówił mi „ok!” uśmiechając się i pokazując białe zęby. Gdy doплыliśmy do portu okazało się, że jesteśmy godzinę przed czasem. Na morzu wystarczyło zwiększyć obroty silnika, by w kilkanaście godzin nadrobić kilkugodzinne spóźnienie. Stalowe, często zardzewiałe wąskie promy przybijają raz w tygodniu do małych wioseczek położonych na maluczkich wysepkach. Gdy zbliża się prom, cała wioska wychodzi na keję. Wszak cała wioska to 100 osób. Mężczyźni ciągną wózki, na które załadują dobra płynące z „lądu”. Starsi ludzie stają na uboczu i komentują wielkie ilości dech z palm kokosowych, które czekają na załadunek.

Kobiety z dala obserwują przybijającą do kei jednostkę trzymając w chuście lub na ramionach swoje pociechy. Kilkuletnie chłopaki, gdy tylko prom dotknie kei, wskakują na statek, wspinają się po bukszprycie i skaczą do krystalicznie czystej wody zabawiając w ten sposób pasażerów stłoczonych na pokładzie.



Gdy prom raz w tygodniu zawinie do maleńkiej wioski, pojawiają się uśmiechnięte i ciekawe świata dzieciaki

Ich ciut młodszy koledzy wejdą za chwilę na statek i zaoferują pasażerom suchą soloną rybkę, rybę zawiniętą niczym sushi w ryż i w liście bananów. Za i wyładunek trwa około godziny. Jest to okazja do wymiany informacji, do przekazania prasy sprzed kilkunastu dni, do odebrania i nadania poczty. Za chwilę statek odpływa. Mieszkańcy wracają do domów. Następne święto za tydzień o tej samej porze.



Dzieciaki za chwilę wejdą na pokład i zaoferują pasażerom suszoną soloną rybkę

Na wyspie zastałem enklawę spokoju: brak elektryczności, radia, telewizji, internetu, prasy codziennej. Wszystkiego tego, co służy do manipulowania, lansowania, reklamowania. Są dobre książki, klasyka literatury, wielcy myśliciele. Jest cisza i spokój. Trafiają tam ludzie spokojni lub szukający spokoju i wyciszenia. Na werandzie nie ma dyskusji o polityce, gospodarce, pracy. Jest o szczęściu, życiu, przyjaźni. O świecie, który się zmienia. Na wyspę nie dociera korespondencja urzędowa, podatki, żarłoczny ZUS. Częstymi gośćmi są monitory, całe mnóstwo ptaków. Tak wygląda raj.

Rok temu poznałem w Nusa Tenggara dziewczynę ze Szwajcarii. Ona też stworzyła swój raj. Podróżując po Floresie w 2008 r. trafiłem na północne wybrzeże. Wybrałem nocleg w bambusowym szałasie w gaju palmowym na skraju wioseczki nieopodal morza. Gdy zapytałem o wolne miejsce, wyszła mi naprzeciw piękna dziewczyna z białymi blond włosami. W akcencie rozpoznałem nutkę języka romańskiego. Zapytałem skąd pochodzi i za chwilę rozmawiałem

już z urokliwą Szwajcarką z Genewy w jej matczynym francuskim. Usiedliśmy przed szafasem na kawałku drewna i usłyszałem opowieść, która spowodowała, że przez wiele dni ciarki twórczego niepokoju chodziły mi po plecach. Sześć lat temu, gdy była w moim wieku (33 lata) pracowała ciężko w genewskim biurze wielkiej międzynarodowej firmy konsultingowej. Pracowała od świtu do nocy, zarabiała świetnie. Była szanowanym fachowcem. Nie miała rodziny, bo w tym okresie rodzina postrzegana była jako obciążenie dla kobiety. Przygodny seks z kolegami w i po pracy, alkohol oraz imprezy pod znakiem mocnych modnych narkotyków były kwintesencją jej życia pozapracowego. Gdy po wielu latach pracy pozwolono jej na spędzenie trzech tygodni poza pracą, wyjechała do Azji. Gdy na kilka dni trafiła na Flores. Rozejrzała się i stwierdziła, że czas w życiu coś zmienić. Wróciła do Genewy, zrezygnowała z pracy. Uporządkowała swoje sprawy majątkowo-urzędowe, zabrała parę tysięcy dolarów do kieszeni, mały plecak z najniezbędniejszymi rzeczami i ... wróciła na Flores. Kupiła skrawek ziemi na obrzeżach maleńkiej wioski, zbudowała kilka bambusowych szafasów i przyjmuje strudzonych samotnych turystów, którzy w spokoju przemierzają górzystą wyspę Flores. Z wysokoopłacanej konsultantki przemieniła się w portiera, pomoc pokojową, ogrodnika, pielęgniarzkę. Nie ma czasu na czytanie książek. Od świtu do nocy pracuje i dba o swój mały raj na ziemi. Pomaga mieszkańcom wioski przy porodzie, opatruje dzieciaki, które się skaleczą. Rozmawia z ludźmi. Tymi z sąsiedztwa i tymi, którzy tak jak ja, przybywają tu z daleka. Odpowiedziała na moje pytanie o tęsknotę za Europą, że nie tęskni, niechętnie tam wraca. Gdy zapagnie francuskiego wina i sera, nie leci już tak jak kiedyś do Europy, ale udaje się na Bali, gdzie wszystko można dostać. W Europie zostawiła swojego brata, który jest prawnikiem, haruje od rana do nocy i nie zna swoich córek, a z żoną, która też ogarnięta jest pogonią za karierą, rozwodzi się. Imprezowego towarzystwa z pracy nie chce znać, nie ma z nim o czym rozmawiać, z obrzydzeniem wspomina swoje „poprzednie” życie. Nikt nie rozumie jej życia i jej problemów. Ona nie traktuje poważnie problemów, które mają i którymi żyją ludzie w Europie. Kocha swój rajski ogród. Kocha dziki, które ryją wypielęgnowane grządki, ptaki które budzą ją o świcie. Kocha nawet jadowitego węża, który czasem wślizgnie się do ogrodu w poszukiwaniu kurczaka lub jakiegoś gryzonia. Raj to oderwanie od zgiełku wyniszczającej nas cywilizacji. Od hipokryzji świata zachodniego. Opowieść zmroziła mnie, bo ja od kilku lat zastanawiam się nad stworzeniem rajku. Myślałem o tym, by wyemigrować z Europy, kupić dom w jakimś urokliwym miejscu. Osiąść. Czytać.

Czy znajdę trwałą spokój? Czy mi się nie znudzi? Boję się walki o utrzymanie tego co mam. Mój ojciec w całym swoim życiu nie zdobył żadnego wielkiego majątku. Nie przystosował się do nowych czasów. Nie radził sobie za komuny

i w domu często brakowało podstawowych artykułów. Nie poradził sobie też w nowych czasach. Chyba starał się, pracował. Potem skłapciał, przestał się starać. Rodzicom zawdzięczam piękne dzieciństwo, wycieczki w góry, na kajaki. To najważniejsze, co rodzice mogą dać dziecku. Gdy jednak człowiek nie angażuje się zawodowo, gdy przejada, to co zdobył wcześniej, staje się szybko bardzo nerwowy w swej apatii życiowej i w nicnierobieniu. Traci rozmach, wigor, boi się podejmować najpierw trudniejszych, potem nawet banalnych wyzwań. Boi się. Najpierw wszystkiego, co nowe, zmiany. Potem boi się dosłownie wszystkiego. To jest dla mnie decydujący argument przeciwko trwałej ucieczce od cywilizacji i od pracy.

Myślałem też o tym, by zabrać plecak i wyruszyć w wieloletnią podróż dookoła świata. Jest to jednak związane z zaprzestaniem pracy zawodowej, z odcięciem bieżących dochodów. I znów strach przed apatią każe mi poszukiwać innych rozwiązań.

Znalazłem! W Paszczurkowie. Uznałem, że nie trzeba z niczego rezygnować. Z poznawania świata, z ciekawej pracy zawodowej. Ze stałego źródła dochodów. I z raju na ziemi. Znalazłem go w Polsce. On jest, pielęgnuję go. Rzadko w nim bywam, ale wiem, że w każdej chwili mogę się do niego przenieść. Na chwilkę i na dłużej.

Paszczurkowo: Mój raj na ziemi

W 2007 r. po wielkich trudach i znoju oraz bezkresnym uganianiu się po urzędach i sądach kupiłem położone w północnej części Mazur poniemieckie gospodarstwo. Leży ono nad precudowną rzeczką Węgorapą.

Stanowi ona północną, ponad kilometrową granicę oddzielającą ten dziki rajski ogród od obrzydliwej cywilizacji, męczącego zgietku, tłumów ludzi.

Węgorapa to jedna z najczystszych, najpiękniejszych i najdzikszych rzek w naszym kraju. Na szczęście dzięki temu, że jest stosunkowo krótka, nie została rozjechana przez tłumy kajakarzy. Węgorapa wypływa z drugiego co do wielkości jeziora w Polsce – jeziora Mamry i wije się do rosyjskiej granicy, osiągając swój przełomowy odcinek właśnie w uroczysku Paszczurkowo. Wysokie brzegi i liczne meandry powodują, że nad rzeczką, nieopodal domu, jest tajemniczo. Zwalone przez bobry drzewa są najlepszym miejscem do refleksji i zadumy. Znajdujące się w zakolach rzeki szuwały są ostoją dzikiego ptactwa. Trud kilkuminutowej wycieczki wąską ścieżyną przez wysokie trawy na Wielki

Ostrów nagrodzi Wam czapla siwa, którą spotkacie tam codziennie o poranku. Po drodze, z Górki Zajęczej będziecie obserwować kormorany przelatujące nad rzeką. Na Tajemniczym Półwyspie spotkacie żurawie i czarnego boćka, a na Zapomnianym Zakolu zatrzymacie się, by posłuchać ciszy przeciętej wrzaskiem wszystkich ptaków Węgorapy. Wracając przez Szarczkowy Zagajnik przestraszycie kicającego zająca. W Sarnim Lasku nie możecie nie spotkać stada jeleni, a zimą przy odrobinie szczęścia w oddali pod lasem zobaczycie łosia. Jeżeli będziecie w Paszczurkowie pewnego sierpniowego dnia, ogarnie Was radość, gdy zaproszeni zostaniecie na bociani sejm. Tysiące boćków będą na łączce radzić, którędy lecieć do Libii i Iraku.



Dzień budzi się nad Węgorapą

Najpiękniejszym przeżyciem związanym z wodą jest kilometrowy przełomowy odcinek Węgorapy pokonany wplaw, najlepiej na golasa (wszak tłumy zostały daleko stąd, a pewna opowiadana od lat przez miejscowych mroczna tajemnica uroczyska powoduje, że i oni nie odwiedzają go często). Czyściutka

i rześka woda, piękne meandry oraz wodorosty łaskotające po brzuchu na zawsze pozostaną w pamięci, staną się obsesją, która będzie Cię gnała do Paszczurkowa za rok.

Jeżeli zapragniesz plażowania, to na Wysokim Brzegu porośniętym trawą znajdziesz miejsce do leżakowania. Tutaj mile widziani są przeze mnie także mieszkańcy okolicznych wiosek. - Twierdzą oni, że jest to najpiękniejsza plaża nad Węgorapą i często po pracy w polu przychodzą tu wieczorem by wskoczyć z Wysokiego Brzegu do chłodnej i kojącej trudy dnia rzeczki pełnej ryb. Tłumów tu wszak nie ma, czasem jedna – dwie osoby. Gdy zobaczą, że przyjechalście, pewnie czmychną i wrócą, jak sobie pojedziecie.

Do starego poniemieckiego domu owianego ponurą tajemnicą prowadzi aleja starych wierzb.

Nie sposób nie zatrzymać się koło każdej z nich. - Postuchajcie opowieści o wydarzeniach, których były one świadkami.

Dochodząc lub dojeżdżając do domu zobaczycie osiem koników Pana Czesława – mojego serdecznego sąsiada, który powita Was o poranku swym uśmiechniętym „dzień dobry” i pokaże grzyby, które właśnie zebrał w Starym Lesie tuż za domem. Dla miejscowych ten maleńki Stary Las jest od lat ulubionym miejscem na grzybobranie.



Póździkie koniki Pana Czesława nad Węgorapą

Zabudowa w Pszczurkowie jest klasyczna poniemiecka: Przed domem sto-
doła, a za nią kilka metrów dalej Brzeg Gada. Po prawej i lewej obory, gdzie Pan
Czesław w zimie trzyma koniki.

Na środku podwórka, na soczystej skoszonej przez WAS (!) trawie zjecie
przy drewnianym stoliku najpiękniejsze *le dejeuner sur l'herbe*. Pamiętajcie jed-
nak o czym rozmawiacie przy stole, bo na dachu domu na pewno cichutko
usiądzie bociek i będzie uważnie słuchał, o czym mówicie. Jak będziecie gadać
głupoty, zaklekoce i odleci na łąkę opowiedzieć konikom (bociek robi to co
wieczór), kto przyjechał tym razem i co opowiada.

Wieczorne ognisko: zróbcie je albo nad rzeką na Brzegu Gada, albo po
prostu przed domem. Gwarantuję Wam, że cisza i tajemniczość tego ogni-
ska spowoduje, że nie będziecie chcieli iść spać. Gdy słońce będzie zachodziło,
wyjdźcie 10 m. za dom. Zobaczycie urokliwy w swej kiczowatości obrazek,
a na pierwszym planie koniki rozmawiające z boćkami.

Wokół Paszczurkowa

Wokół Paszczurkowa konicznie zróbcie wycieczkę rowerem mazurskimi
traktami. Może uda się Wam dotrzeć do tajemniczej piramidy w lesie? Zróbcie
spływ Węgorapą, najlepiej od Węgorzewa do Paszczurkowa. Mój ponton jest
do Waszej dyspozycji u sąsiada, a kajak albo wypożyczycie w Węgorzewie, albo
weźcie mój składak z żaglem. Dla najodważniejszych: spod domu dotrzeć
wodą do Węgorzewa, Mikołajek, Warszawy, Krakowa, Szczecina, a kanałami
aż do Francji!

Warto udać się rowerem lub samochodem na Wzgórza Mazurskie. – Moje
urokliwe siedlisko z licznymi dzikimi stawkami na Mazurach Garbatych, inte-
gralna część mojego rajy na ziemi.

Siedlisko „Wzgórza Mazurskie” jest oazą spokoju, przeciwieństwem cywi-
lizacji i alternatywą dla zgiełku dnia codziennego. Jest to idealne miejsce do
relaksu, aktywnego wypoczynku z dala od tłumów.

Tajemnicze stawki usytuowane pośród pagórków oraz ruiny poniemieckiego
gospodarstwa i ślady przedwojennej kolejki leśnej powodują, że przebywa-
jąc tutaj, człowiek natychmiast wyhamowuje i zaczyna kontemplować dziewiczą
przyrodę. Duża powierzchnia siedliska powoduje, że ta dziewicza oaza spokoju
gwarantuje idealny i niczym niezakłócony spokój dla odwiedzających „Wzgórza
Mazurskie”.

Łysa Góra, leżąca pośrodku „Wzgórz Mazurskich” jest najlepszym miejscem widokowym w okolicy. Popołudniowy piknik na Łysej Górze gwarantuje najlepsze w Polsce zachody słońca, a ognisko na wzgórzu to najbardziej niezapomniane przeżycie dla każdego uczestnika biesiady.

Poranna wycieczka na „Tajemnicze Wzgórze” ulokowane w zachodniej części siedliska „Wzgórz Mazurskie” pozwala spotkać rodzinę żurawi pod Wielką Samotną Sosną, czarnego boćka między Twoimi wzgórzami, czaple siwe nad Wielkim Stawem Garbatym, stado jeleni pod lasem i szaraka kicającego wśród traw.

Wielka Samotna Sosna na „Tajemniczym Wzgórzu” to idealne miejsce do lektury i kontemplacji.

Całe siedlisko „Wzgórz Mazurskie” przepętnione jest zagajnikami, dzikimi stawkami, wzgórzami i pagórkami. Jest to idealne miejsce na zabawę w chowanego, na jazdę na koniu, na nartach biegowych, na sankach i saniach.

Takich miejsc nie ma już w Polsce.

Infrastruktura

Wyremontowałem w Paszczurkowie w sposób bardzo prosty dwa pokoje, łazienkę i kuchnię. Wiosną 2009 kontynuuję adaptację tego pięknego domu do celów aktywnego i wygodnego wypoczynku.

Spać jest gdzie. Ciepła woda jest, kuchenka elektryczna też, kilka najprostszych naczyń też znajdziecie. Siekiera i sprzęt do karczowania w przedpokoju, kosiarka u mojego sąsiada (jak uśmiechniecie się serdecznie do Pana Czesława, to na pewno Wam pomoże, to przeuroczy człowiek). Nic innego Wam nie potrzeba!

Korzystajcie z życia, odpoczywajcie !

Status prawny

Paszczurkowo jest kawałkiem świata niezależnym od cywilizacji, niepodległym nikomu, niezaangażowanym w politykę, nieaktywnym gospodarczo, przyjaznym naturze. W Paszczurkowie rządzi Rada złożona z Boćków, Wyderek, Kormoranów, Łabędzi, Czapli Siwych i Szaraka. Organem wykonawczym jest Paszczur: nie mają wstępu do Paszczurkowa tłumy ludzi, głośna muzyka. Mile

widziani są moi przyjaciele i każdy, kto chce zaznać spokoju i odciąć się na chwilę od szkodliwej cywilizacji.

Władze Paszczurkowa dążą do uzyskania autonomii w ramach RP. Ma się ona przejawiać zniesieniem podatków i danin publicznych, powrotem do gospodarki naturalnej, wprowadzeniem autarkii gospodarczej i ogólnej szczęśliwości. (www.Major.TM.pl/paszczurkowo)

Dobrze jest mieć swój własny raj na ziemi.

Tajemnicza kraina Tana Toraja

Wiele dni spędziłem wędrując z młodym człowiekiem pośród pól ryżowych, gajów bananowych, palm przez zamieszkałą przez ludzi przypominających Mongołów krainę Tana Toraja. Legenda mówi, że wiele tysięcy lat temu, odważne plemię przewędrowało całą Azję i na wielkich łodziach przepłynęło aż na Sulawesi, gdzie dotarło korytami rzek w głąb lądu. Dachy domów do dzisiaj budowane są w kształcie wielkich łodzi. Fasady przyozdabiane są głowami byków, a spichlerze ryżowe mają maleńkie pięknie rzeźbione drzwi.

Życie w wiosce kręci się wokół pracy ryżu.

Dorośli od rana do wieczora pracują w polu, dzieciaki po powrocie ze szkoły pomagają rodzicom bawiąc się przy młóceniu ryżu, w rozbijaniu ryżu na mąkę w wielkich drewnianych móżdziejach.

Dachy domów do dzisiaj budowane są w kształcie wielkich łodzi





Życie w wiosce kręci się wokół uprawy ryżu



Dzieciaki po szkole pomagają rodzicom bawiąc się przy młóceniu ryżu

Najbardziej tajemniczym zwierzęciem jawi się tu byk. Generalnie w całej Azji służy on do orania pola po zbiorze ryżu. Ciągnie w kółko prostą drewnianą bronę, albo po prostu przez kilkanaście dni pasie się brodząc po kostki w wodzie nagromadzonej na poletku ryżowym. W Tana Toraja byk ma jeszcze funkcję magiczną. Ofiara z byka jest punktem centralnym ceremonii pogrzebowych. Pewnego poranka mój przewodnik zakomunikował mi, że idziemy na pogrzeb. Nie wiedząc, co nas czeka, zabrałem aparat, butelkę wody i ruszyłem za młodym chłopakiem.



Ofiara z byka jest punktem centralnym ceremonii pogrzebowej

Po kilku godzinach marszu dotarliśmy do pięknej doliny. Z dala widać było zmierzających do wioski ludzi. Ciągnęli całymi rodzinami, z tobołkami na plecach, z inwentarzem. Miałem wrażenie, że to jakiś exodus. Ludzie uciekają



przed zarazą, rzezią, wojną? Gdy docieraliśmy do wioski zobaczyłem u jej wrót stolik i tablicę z krótkimi napisami, które korespondowały z cyframi. Okazało się, że to miejscowy fiskus ściągą daninę publiczną od przechodzących. Wysokość podatku zależna jest od wielkości wprowadzanego do wioski inwentarza. Za świnkę tyle, za byka więcej, najmniej za koguta. Po uiszczeniu pogłównego weszliśmy do centrum wioski. Zostało ono przebudowane na wielką arenę, wokół której pobudowano bardziej i mniej okazałe zadaszenia. Podczas ceremonii pogrzebowej trwa nieustanna uczta, prezentacje poszczególnych wiosek, które przybyły na uroczystości. Punktem kulminacyjnym jest rzeź byków. W ciągu kilkunastu minut na wielkim placu podcina się gardła i pozwala skonać kolejno wszystkim zwierzacom przyprowadzonym na pogrzeb. Wszystko odbywa się w ogłuszającej wrzawie szczęśliwości mieszkańców wioski. Ceremonie, uczy, zabawy trwają cały tydzień.

Podczas ceremonii trwa nieustanna uczta, prezentacje poszczególnych wiosek, które przybyły na uroczystości